

## „Tamiza prawdę Ci powie”

Niebieskie niebo w samo południe, pozbawione niemalże chmur poprawiało humor niejednemu człowiekowi. Na twarzy pojawiał się zawsze zadowolony uśmiech i nawet, jeśli nikt nie potrafił wprost docenić tego jak piękna była pogoda, to każdy był wdzięczny o takie zjawisko podczas londyńskiej jesieni. Nie oceniwszy nikogo wcześniej, ale takie momenty jak te były moimi ulubionymi. Wtedy zapominałem o wszystkim i starałem się nie analizować najmniejszej błahostki. Delektowałem się promieniami słonecznymi, pochłaniałem je wszystkie, wylegując się na dachu jednego z blokowisk. Nawet, jeżeli ulice były całe pokryte plastikiem i szklanymi butelkami po wysokoprocentowym alkoholu.

Wokół mnie był bałagan, ubóstwo i pełno wypalonych papierosów, jednakże mimo tego wszystkiego będąc oparty na przedramionach nie zważałem na żadną drobinę łupin słonecznika. Zamknąłem oczy i miarowo oddychałem czekając na kumpla. Umówiliśmy się na późniejszą godzinę, ale z tego wszystkiego wołałem ominąć ogromnych tłumów w komunikacji miejskiej i zjawić się o wiele wcześniej. Takim sposobem zyskałem dodatkowe minuty ciszy, spokoju, którego w moim mieszkaniu dawno nie zastałem.

Tak jak moi współlokatorzy dawno nie zastali mnie samego, tak przy okazji.

Bo będąc szczerym, ale tak naprawdę szczerym... To bardzo ich nie lubiłem, teraz inaczej do nich podchodzę, jednak wołałem przesiadywać całe dnie w tanim barze mlecznym lub na drinku w barze, który możliwe jest starszy od samego słońca i sam budynek był świadkiem Wielkiego Wybuchu.

Ten bar był od zawsze i o nim już słyszałem od mojego taty, mojego dziadka i jeszcze wujka, który tak naprawdę nie był nigdy moim wujkiem, a cicią.

W mojej głowie pałętało się wiele myśli, które finalnie łączyły się we wspólną całość, którą o umówionej godzinie miałem opowiedzieć Bradowi. Znałem się z nim od długich dziewiętnastu lat i jeżeli mógłbym, a mogę, to te dziewiętnaście lat minęło mi zdecydowanie za szybko, lecz Brad był wciąż pełen dziecięcego szczęścia mimo tego, co wspólnie przeżywalismy.

Chłopak po prostu wiedział jak wyciągnąć mnie z największego bagna i to był Brad, pocieszny Golden Retriever we własnej osobie.

Był rok 2079 i wiele rzeczy na świecie się zmieniło. Ówczesne Wielkie Imperium Wielkiej Brytanii zostało przejęte przez rodzinę Witchów i wszelkie zasady panujące w obrębie Anglii, Północnej Irlandii, a właściwie Irlandii i Walii się całkowicie zmieniły. Patrząc

na to, że sama Szkocja od ponad pięciu lat nie istnieje na mapie Europy jest ogromną czerwoną flagą wśród sąsiadów Wyspy. Jeśli miałbym opisać jak wyglądają zasady pomieszkiwania w samym centrum Londynu, który od ponad dekady przyjął słynną nazwę Nydno! – to przecież samo w sobie brzmi komicznie – to właściwie zasad praktycznie nie było.

Szerzyła się kleptomania, do kraju wjeżdżało po tysiące różnorodnych ciężarówek z nieznaną zawartością, a jedynym nakazem, jaki panował w obrębie państwa to zwykła zasada pracuj i żyj. Panował chaos, anarchia i obłąd. Nikt nie wiedział nigdy, co się dzieje, w telewizji jedyną rzetelnym programem był kanał *Flashbacks*, który rzecz jasna był płatny, niemniej jednak, jako jedyny publikował realia ówczesnego świata.

Zbrodnie były popełniane na każdym kroku, miasto było obrzydliwe brudne i zaniedbane, a ja, jako ten dziewiętnastolatek mieszkający tutaj niemalże od urodzenia miałem jakiegokolwiek zdanie o tym mieście zachowane.

Dlatego teraz czekając cierpliwie na przyjaciela, intensywnie przemyślałem plan działania o kryptonimie jak zarobić, by się za dużo nie na robić. A tak jak wspomniałem wcześniej, patrząc na aktualne realia nie było to takie trudne jak mogłoby się wydawać.

- Opowiadaj mi to szybko, bo zaraz mam wracać do Kevina na zmywak, cudem się wyrwałem – usłyszałem charakterystyczny głos przyjaciela, którego kroki było słychać chwilę później. – Dosłownie nie rozumiem, jak to się stało, że ochroniarzowi nagle zależy na bezpieczeństwie tych księżniczek.

Bradberry pracował dorywczo w Królestwie i jakkolwiek wydawałoby się to śmieszne, niedopuszczalne i wręcz nieprzemyślane ze strony zamku, tak właśnie było. To było zabawne, dlatego miałem powód, by to w pełni wykorzystać.

- Mówisz, że wpuszczają każdego chętnego do pracy w zamku? Nawet, jako sprzątaczką czy inną kucharką? – Uniosłem się na łokciach by zerknąć kątem oka na bruneta. Słońce świeciło bardzo intensywnie i nie obeszło się, bez zarzucenia na nos ciemnych szkieł przeciwsłonecznych. Ten jedynie wzruszył ramionami i cicho przytaknął, a mnie automatycznie na twarzy pojawił się szeroki uśmiech zwycięstwa, które czułem w zasięgu kilometra. – Leć do Keva, wkręć mnie tam! Nie mam niczego do stracenia. – Chłopak zmarszczył brwi i już miał o coś zapytać, jednak uprzedziłem go wstając na równe nogi. - No, co się tak patrzysz? Idź, muszę się przebrać i ogarnąć ten wąs pod nosem.

.....

- Jeśli wpadniesz po uszy, to tym razem nie będę cię wyciągał z takiego bałaganu jak ten – takimi słowami podsumował przyjaciel moją długą i jakże wyczerpującą historię o planie zdobycia sporej ilości gotówki. – To znaczy, super, trzymam kciuki, ale to jest bardziej niebezpieczne od wejścia do sklepu i grożenie pistoletem na kulki. Myślisz, że księżniczka jest na tyle zdesperowana żeby po kilku dniach miłych słówek wyskoczy ci z perłami i złotymi kolczykami?

Mój pomysł był jednym z banalniejszych i wzbudzenie nici sympatii w kobiecie, która ostatnimi czasy była odseparowana od wszelkiej ludności była jeszcze łatwiejsza niż mi się naprawdę wydawało.

Pomysł był prosty, krótki i bez większych komplikacji powinien się ziścić.

### **1. Załatwienie pracy w zamku.**

Jeszcze dwadzieścia lat temu ktoś by mnie wyśmiał za takie aspiracje, a teraz nikt nie sprawdzał danych osobowych, co najwyżej zapytali o rodziców i ich zawód. Ochrona, wszelcy żołnierze nic sobie z tego nie robili, większość z nich dniami i nocami chodziła wzdłuż ulicy protestując lub zbierając monety do puszki.

### **2. Znalezienie Księżniczki Lindsay i zabieganie o jej zainteresowanie.**

Ten punkt wydawał mi się najmniej skomplikowany, aczkolwiek nigdy nie mogłem pozwolić na to, by być pewnym swoich planów w stu procentach. Jeden zły ruch i wszystko mogło legnąć w gruzach, a w tym i Brad.

### **3. Zdobycie kosztowności i ulotnienie się z Zamku, bez późniejszego powrotu.**

Trzy punkty, kilka dni i sprawa miała być w pełni załatwiona.

- Jesteś naprawdę niepoważny, Will – szliśmy ramię w ramię wzdłuż ulicy. Bradberry był bardzo wzburzony, emanował swoją energią w promieniu paru metrów i jeśli można było przeliczyć tę energię na jego zdolności matematyczne, to dawno temu pilibyśmy sok ananasowy z parasolką przy słońcu na Bali za zdobytą Nagrodę Nobla.

- Nigdy nie powiedziałem, że jestem poważny – odpowiedziałem szczerze. – W aktualnej sytuacji jest mi już wszystko jedno, Rick.

Użycie jego prawdziwego imienia w takiej sytuacji znaczyło dla niego tylko jedno – wiedział, że za wszelką cenę spełnię swój plan, nawet, jeśli waliłyby się pode mną góry, a z nieba spadały lawiny śniegu.

- Powiedziałem Kevinowi, że przychodzę z kolegą. Masz mieć ze sobą dowód osobisty, adres, numer telefonu i niby dane rodziców, ale mam wrażenie, że to będzie zbędne.

- Skąd! Podam dane Elliota i będzie miał za swoje w końcu – moje słowa zostały jedynie potraktowane kiwnięciem z dezaprobatą. Elliot to jedynie wymaginowana postać, której imienia używam od kilku lat. Nikt poza samym Bradem nie zna mojej osoby, jako Williama Endersona, tak jak nikt inny nie zna Brada, jako Richarda Bradberrego.

Sytuacja w Londynie była przeraźliwa, te wszystkie śmieci, możliwości rabunku i szerzące się bijatyki w każdej ślepej uliczce brzmiały abstrakcyjnie dla każdej osoby spoza Wyspy. Inne kraje nie wspierały Anglii od wielu lat, odwróciły się, a wszelkie media ucichły po roku od ogłoszenia śmierci Królowej Elżbiety II, wtedy wszystko runęło w gruzach i pozostawiło państwo w takim stanie, jakie jest teraz. W takim czasie miałem dużo swobody, ale ludność, która boi się wychodzić z domu i nie ma chwilami, co włożyć do ust, jest w stanie uciążliwym. Im zależy na życiu w normalnym, bezpiecznym kraju – bez ludzi takich jak ja.

Dotarwszy do zamku wypełniliśmy wszelkie dokumenty wejścia i zasady panujące na piętrze minus pierwszym. Co mnie mocno zaskoczyło to prezent w postaci fartucha, koszulka z gigantycznym napisem **PRACOWNIK** i plik kartek z zadaniami na dany dzień? Po poziomie oprowadzał mnie całe szczęście Brad, a to tylko, dlatego, że sam tam pracował od dobrych miesięcy. Pilnie i z rozwagą oglądałem każde pomieszczenie, do którego formalnie miałem pozwolenie wchodzić. Dowiedziałem się od samego Kevina, które pomieszczenia zawierają kamery i czujniki, a w których korytarzach niekoniecznie one się znajdowały.

Nie był świadomy jak bardzo ułatwił mi zadanie.

.....

Włożywszy następnego dnia do uszu bezprzewodowe słuchawki odpłynąłem na parę godzin i nie zważywszy na fakt, że teoretycznie byłem w pracy podrygiwałem w rytm słyszanej muzyki. Trzymałem w ręku miotłę z kolorowym włosiem i tak jak w mojej rozpisce dnia wykonywałem zadanie. Wokół mnie nie pałętało się zbyt wiele osób, więc bez większych przeszkód nuciłem pod nosem popularne piosnki lat sprzed dwudziestu lat. Jak byłem młodszy wielokrotnie je słyszałem z ust ojca i tak do dziś potrafię je włączyć i odlecieć w myślach do odległych refleksji i wspomnień.

Nie miałem zamiaru ubierać kultowego T-shirtu podarowanego przez Kevina, niemniej jednak nie miałem ochoty wracać specjalnie do mieszkania po czystą koszulkę, jak taką dostаем totalnie za sam fakt, że żyłem i okazywałem chęci do służenia w pałacu.

Bawiła mnie niemiłosiernie niepowaga całej tej sytuacji. Tańczyłem z miotłą na środku królewskiego korytarza w rytm *Get Lucky* od Williama Pharrella z myślą, że za zaledwie parę dni zdobędę wiele kosztowności i to za sprawą najmłodszej z dziedziczek Witchów.

Aż sam się do siebie dumnie uśmiechnąłem z takiego obrotu spraw.

- Radziłabym, żebyś lepiej nie śpiewał tak głośno, ja wiem, że jest tutaj dość ponuro, a te ściany wydają bardzo szczelne, ale serio mówię, tutaj słycać wszystko – momentalnie zamarłem, gdy za swoimi plecami poczułem obecność kogoś, kto wcale nie przypominał mojego cienia. – Halo, wyłącz te słuchawki – dziewczyna o długich czarnych włosach najwidoczniej wciąż myślała, że jej nie słyszę.

- Wyłączyłem, już parę sekund temu, ale przyjemnie było popatrzeć jak się irytujesz.

Stała przede mną we własnej osobie Lindsay Witch i tak jak przypuszczałem, jako jedna z nielicznych ze swojego rodzeństwa będzie szwendała się po pałacu szukając rozrywki. Nie miałem nawet powodu by się dziwić jej postępowaniu. Zapewne gdybym sam całymi dniami miałbym spędzać czas na siedzeniu w jednym dużym mieszkaniu bez większej frajdy i słysząc zza okna wyzwiska skierowane w stronę jej rodziców, to też szukałbym zajęcia w pracownikach pałacu.

Niekoniecznie było to prawdą, dowiedziałem się o tym poprzez przeglądanie mediów i natrafiłem na stronę: „10 ważnych faktów o Księżniczce Lindsay, o których pojęcia nie miałeś” i jak widać strona przekazała mi prawdę.

- Elliot jestem, Elliot Hughs – położyłem miotłę na ogromnych kaflach i podałem dziewczynie dłoń. Udałem, że się pomyliłem i prędko ukloniłem się przed nią ponownie się przedstawiając.

- Nie było to potrzebne – uśmiechnęła się życzliwie, a po chwili podała mi swoją dłoń. – Zapewne wiesz, ale jestem Lindsay.

Byłem wręcz oniemiały całym zajściem i jak niektóre rzeczy sprawnie zachodziły zgodnie z moim planem. To było niemożliwe, by w przeciągu niecałej doby spełnić prawie dwa z trzech podpunktów wyobrażonej listy.

Poprawiłem swoje ubranie, podniosłem miotłę z marmurowej posadzki i zgodnie z zaproszeniem czarownic dziewczyny zostałem oprowadzony ponownie po korytarzach pałacu. Z tym faktem, iż po kolejnym piętrze wraz z dodatkowymi informacjami na temat rodziny Linds.

Rozmawiało nam się dość przyjemnie, nie odczuwałem w żadnym wypadku tej różnicy społecznej pomiędzy nami, a właściwie sam przypuszczałem, że księżniczka za wszelką cenę starała się mnie utrzymać przy sobie jak najdłużej mogła. Zwierzała mi się z każdej błahostki i utwierdziło mnie to w przekonaniu, że zdobyć klucz do kosztowności nie będzie aż tak trudne jak sądziłem.

Zostałem oprowadzony po najniższym poziomie pałacu i kiedy miałem już żegnać się z tymczasową towarzyszką, dostrzegłem na samym końcu długiego ciemnego korytarza drewniane drzwi. Niemalże natychmiastowo wskazałem w nie palcem.

- Dokąd prowadzą? – Witch stanęła wyprostowana i stosunkowo długo zastanawiała się nad odpowiedzią na zadane pytanie. Wpatrywała się we mnie z nieznaną mi konsternacją, aczkolwiek mnie to jedynie przekonywało do tego, iż to piętro skrywało więcej tajemnic i niespodzianek, niż te znane, do których cierpliwie dążyłem. – Nie musisz mi tego mówić, jeśli jest to coś bardzo ważnego. To było tylko luźne pytanie.

- Rodzice mówili mi, że mają tam składzik na meble ze starego pałacu, a że nie mieli serca ich sprzedać czy wyrzucić to tam trafiły – błędziła wzrokiem wzdłuż i wszerz ścian i obrazów, które je pokrywały, ale ani na chwilę nie spoczęła spojrzeniem na mojej twarzy.

Całym sobą, przy użyciu siły całego ciała starałem się nie zaśmiać, czy zrobić tak żalostnej miny, jak to zdanie z jej ust zabrzmiało. Chwilę odczekałem i odwróciwszy się na pięcie zawołałem ją dłonią, udając brak zainteresowania jej odpowiedzią.

Później przekazałem wszelkie zdobyte informacje Bradberremu, żeby wspólnie obmyślić dalsze działania.

.....

- Jak to się dzieje, że pracuję tu od faktycznie długiego czasu, a ty jesteś tutaj od kilku godzin i wiesz więcej ode mnie? – Kroczyłem wraz z Bradem powoli wzdłuż korytarza minus trzeciego starając się nie wydobyć żadnego głośniego dźwięku. Było już dawno po północy, więc szansa na wpadnięcie na kogoś nieproszonego była zdecydowanie większa, niż było to

za dnia. W chwili, w której opowiedziałem chłopakowi wszystko, co opowiedziała mi Lindsay, sam podjął decyzję o sprawdzeniu, co znajdowało się w odległej części pałacu.

- Teoretycznie miałem czyste szczęście. Szorowałem podłogi i nagle łał, dziewczyna stoi za mną i co więcej sama się do mnie odezwała – szepnąłem w odpowiedzi. O tej godzinie na samym dole było potwornie ciemno jak i zimno. Miałem na sobie jedynie czarną koszulkę i równie ciemne spodnie jeansowe. Czułem na rękach jak włosy od zimna stawały mi dęba, a na plecach, co jakiś czas pojawiały się dreszcze.

- Kevin mówił, że piwnice są pozbawione kamer – zmarszczyłem brwi będąc bardzo zdzwiony tym, o czym powiedział mi towarzysz. – No właśnie też byłem zdziwiony, ale co będę się kłócił z dziadkiem po siedemdziesiątce. Ważne, że mam to, mój drogi.

Wyjął z kieszeni pęk grubych kluczy, które ewidentnie pasowały do tego typu drewnianych drzwi.

Zakryłem dłonią usta by nie wydać głośnego dźwięku ekscytacji. Mijaliśmy kolejne korytarze, raz szliśmy szybciej, raz wolniej. W pewnym momencie dostrzeżliśmy samego strażnika na środku wąskiego korytarza, wprawdzie mężczyzna był zbyt zainteresowany swoją komórką, niżeli bezpieczeństwem przełożonych.

Skradaliśmy się wystarczająco długo, by trafić do naszego celu, jakimi były masywne drewniane drzwi, które swoim wyglądem przypominały wrota do innej czasoprzestrzeni, niczym podróż w czasie o setki lat wstecz.

- Stary, boję się – powiedział pełen lęku Rick podając mi klucze. Ręce mu się trzęsły niewyobrażalnie nerwowo, więc bez grama sprzeciwu przyjąłem je od niego i włożyłem do otworu. Kolejno próbowałem każdego klucza, aż w pewnym momencie jeden z nich idealnie pasował do wydrążonej dziury. Przekręciłem go w prawo i usłyszałem charakterystyczne kliknięcie. Drzwi puściły i bez oporu rozwarły się na oścież.

Przeszedłem przez nie, a widząc przyjaciela, który widocznie bał się postawić jakikolwiek krok pociągnąłem go za rękę, a wraz z nim masywne drzwi.

- Zapal latarkę w telefonie, bo prędzej umrę tu ze stresu i zimna, niż znajdziemy jakiegokolwiek złoto.

- Nie nastawiałbym się na nic, Brad – wskazałem strugą światła na wprost. Korytarz był niezwykle długi, mogłoby się wydawać, że sięgał kilometrów. Co kilkanaście metrów rozgałęział się do jeszcze większej ilości tunelów i gdyby zapewne ktoś zrobił ich zdjęcie z lotu ptaka, to wyszedłby z tego sporych rozmiarów labirynt. – Nie rozdzielamy się, nie ma

takiej mowy. Możemy pójść cały czas prosto, bo w sumie im dalej tym większe prawdopodobieństwo, że tam może być coś ciekawego, prawda?

Przyjaciel zgodził się wyłącznie kiwnięciem głową. Już z większą swobodą poruszaliśmy się wzdłuż alejek, które nie były oświetlone, a w niektórych miejscach na suficie kapąły krople wody. Im dalej się znajdowaliśmy tym więcej kałuż na kafelkowej podłodze znajdowaliśmy. Słyszeliśmy intensywnie dźwięki wody i to była jedna z bardziej zaskakujących nas rzeczy.

Kolega obok zatrzymał się przy jednym z wgłębień przy ścianie. Zaproponował chwilę przerwy i zaraz potem usiadł w betonowej wnęce. Stałem zaraz obok niego, a do mojego umysłu trafiła nagła fala obfitych myśli. Znajdowaliśmy się w ciemnym, wąskim i niskim korytarzu, nie wiedzieliśmy nawet gdzie zmierzaliśmy.

Byliśmy nad wyraz nieodpowiedzialni i jak mnie mój stan nie interesował tak zacząłem się przejmować Rickiem, który na zadowolonego od wielu godzin nie wyglądał.

Przyglądałem się zmarnowanemu koledze, aż dostrzegłem, że za nim nie znajdowała się zwykła na czarno pomalowana szyba.

- Brad, odsuń się – wstał z udawaną urazą, a ja natychmiastowo poświeciłem latarką w sam środek okna. – O ja cię kręcę.

- To wiemy.

- Ah, przestań. Spójrz sam – podałem komórkę i poczekałem na reakcję przyjaciela.

- Jesteśmy pod wodą. Pewnie pod jakimś Nilem czy inną Amazonką.

- Najprawdopodobniej Tamizą, ale nie będę się czepiał. Chodźmy dalej w kierunku szumu wody, może jakieś drugie wyjście znajdziemy.

I tak jak zaproponowałem, tak wciąż krążyliśmy z jednego korytarza do drugiego, aż trafiliśmy na drugą parę tych samych masywnych wrót. Ponownie otworzyliśmy je grubym żeliwnym kluczem. Ekscytacja wraz z mijanymi metrami w nas rosła i oboje przypuszczaliśmy, że to, co odnajdziemy przy samym końcu wędrówki, będzie warte całej stresującej podróży.

Po kolejnych minutach przechadzania się po tych samych ścieżkach stwierdziliśmy wejść przez pierwsze od prawej strony wrota, które nam się pojawią. Owe drzwi pojawiały się raz na paręnaście metrów, dlatego też długo na ten moment nie musieliśmy czekać.



Szarpnąłem za klamkę, oczywiście drzwi były zamknięte.

Potałem dłonią o włosy, kiedy to Bradberry przeszukiwał pęk kluczy w poszukiwaniu jednego z najmniejszych wśród kluczy.

- Otwieraj – nakazał zgarbiony Brad, który przez swój wzrost musiał przez większość czasu iść z głową skierowaną ku dole. – Albo coś będzie, albo nie będzie.

Kłódka puściła, drzwi się przesunęły i mogliśmy wejść do zupełnie innego pomieszczenia niż mieliśmy okazję przez ostatnie godziny tułaczki obejrzeć. Po lewej jak i prawej stronie znajdowały się średnich rozmiarów lochy, z otwartymi celami. Każda z mijanych cel była pusta i nie wyglądała na zamieszkaną przez kogokolwiek. W nich były również okrągłe okna pokryte kratami, jednakże w tych szklach była bardziej przejrzysta woda, dzięki czemu mieliśmy stuprocentową pewność, że znajdujemy się bliżej lądu niż nam się wydawało.

- Hej, Wy! – Przerażeni do szpiku kości odskoczyliśmy usłyszawszy głos starszej kobiety w dalszej części cel. – Tak wy, podejdźcie tutaj proszę.

Niepewnym krokiem mimo wielu sprzeciwów pojawiających się w naszych głowach postanowiliśmy ruszyć w kierunku słyszanego głosu. Rozglądaliśmy się na boki w wielkiej konsternacji, wszelako po dostrzeżeniu w kącie ogromnej celi kobietę o białych jak śnieg włosach, pulchnych policzkach i po skojarzeniu tego charakterystycznego akcentu w głosie doznaliśmy wielkiego szoku.

Tak wielkiego, że sam Bradberry na środku ogromnego lochu w mgnieniu oka padł z wrażenia na betonową posadzkę.

.....

Usiadłszy bliżej zamkniętych ludzi w lochu próbowałem poukładać myśli w jedną spójną całość. Niedowierzałem, kogo widziałem na własne oczy, w tamtej chwili wszelkie złoto i pierścienie od Księżniczki Lindsay mnie nie interesowały. Ludzie siedzący przede mną to był ewenement i cały czas byłem pod wrażeniem, że oni tam po prostu byli i potrafili mówić, a co więcej poruszać się i oddychać.

- Elizabeth się nazywam.

- O ja zdecydowanie wiem, kim Pani Miłościwa Królowa jest, tyle, że zastanawiam się czy to ja umarłem, czy mam omamy – moje słowa zostały jedynie skwitowane cichym śmiechem towarzysza Królowej, którego widok również nie przyprawiał mnie o dobre

samopoczucie. Brad siedzący zaraz obok mnie, był cicho jak mysz i przyglądał się każdej z osób siedzącej w brudnej ciemnicy.

Jak i psie, ponieważ zaraz przy stopach Królowej Elizabeth znajdował się mały Corgi, pies Pałacu Buckingham.

- Pozwól mi wyjaśnić, ponieważ jesteście jedynymi osobami spoza Państwa Witchów, którzy nas tutaj odwiedzili. Ja wraz z Księciem Philipem nie zginęliśmy, nie umarliśmy śmiercią naturalną jak to zapewne w radiu mówili, lub też zaczną mówić. My właściwie nigdy nie umrzemy – tłumaczyła się prędko kobieta, w zupełności nie czekając na nasz odzew.

- Słucham? To znaczy, to chyba dobrze, prawda Will? Powiedz, że prawda, bo zacznę się bać.

- To brzmiało z twoich ust naprawdę źle, matko – odezwał się młodszy mężczyzna, którego każdy na świecie zna z imienia Charles. Na jego widok lekko zmarszczyłem brwi.

Czułem się jak w tanim tureckim serialu dla babć, w którym dzieje się ogrom niezrozumianych przez bohatera zdarzeń.

- Nasza dynastia od pokoleń jest poddawana promieniowaniu, dzięki któremu mimo starzenia się wizualnego, wewnątrz jesteśmy niemalże nieśmiertelni. Nie mieliśmy na to wpływu, my, ja wraz z moją żoną, jako jedni z ostatnich zostaliśmy potraktowani jego działaniem. Jakkolwiek może to brzmieć abstrakcyjnie, tak mój pogrzeb w 2021 roku, nie był rzeczywisty, szkoda jedynie tego, co teraz przez te wszystkie tajemnice stało się z Królestwem i jego mieszkańcami.

- Państwo Witch dowiedzieli się nie wiadomo, w jaki sposób, o całej sytuacji i mimo wielu rozmów zostaliśmy uwięzieni w celach pod Pałacem, by nikt się nie dowiedział o wystąpieniu takiej sytuacji.

- Że co? – Wybuchłem nieokiełznanym śmiechem, który był prawdopodobnie efektem nadmiaru informacji, które brzmiały jak kino akcji. Jednakże to była rzeczywistość i to niezbyt kolorowa i mimo tego, że wcale nie miałem ochoty wierzyć w te słowa, tak musiałem poprawić swoje zachowanie chociażby w tej sytuacji. – Przepraszam, już nie będę się śmiać. Czy Pani, Królowa? Nie wiem.

- Mów nam po imieniu, to już jest bez większego znaczenia, w jaki sposób się do nas zwrócisz – posłała widocznie wymuszony uśmiech, nie miałem jej tego za złe.

- Czy wiecie, w jakim stanie jest miasto odkąd Joseph i Monica Witch przejęli panowanie? – Pokręcili głową, a ja z gigantycznym niedowierzaniem przyglądałem się ich twarzom. – Jest źle, a wy musicie pilnie stąd się wydostać, nawet, jeżeli będziecie mieć problemy przez te całe promieniowanie i nieśmiertelność.

Nadal nie wierzyłem w to co mówiłem. Przede mną była Królowa Angielska, jej mąż, dzieci i wnuczek z żoną. To była abstrakcja.

- Ty jesteś Brad, dobrze pamiętam? – Na słowa Księcia Philipa brunet natychmiastowo wstał udając w pełni świadomego całego zajścia. – Jeśli poprawi to tobie humor, bo od ponad godziny siedzisz młodzieńcze błądy jak ściana, to mogę ci powiedzieć, że przez pewien czas byłem nawet w kosmosie.

- Po co mi była ta biżuteria, po co, po co? – Powtarzał cicho sam do siebie, a starszy męczyzna widocznie miał z chłopaka niezły ubaw.

Wszystkie wypełnione cele poszczególnymi członkami rodziny zostały otwarte i pozostało znaleźć szybszą drogę do wyjścia z podziemia. Modliłem się w duchu, by wszystko, czym prędzej się skończyło. Mimo zdezorientowania, jaki panował w mojej głowie musiałem zachować otwarty i świeży umysł.

.....

Znalazszy wyjście parę kilometrów w głąb lochów wspięliśmy się wszyscy ku górze, w której znalazł się właz dzielący nas od ciemnych korytarzy Pałacu. Całe szczęście Królowa doskonale znała każdy zakamarek korytarza, więc i znalezienie celu nie było takie trudne.

Brad, jako najwyższy z uciekinierów wyszedł z włazu, jako ostatni.

Stanęliśmy wszyscy przy *Speaker's Green*, a właściwie jego szczątków, ponieważ przez brak pielęgnacji ogród zmarniał i wyglądał jak jedna wielka kępa chwastów. Zaraz obok płynie Tamiza, nad nią stoi znany *Westminster Bridge*.

- To teraz już nie wiem, chyba będziemy iść już sobie? – Odezwałem się chcąc brzmieć zabawnie, aczkolwiek widząc miny odnalezionych zaginionych wcale nie było mi do śmiechu. – Albo jednak nie idziemy?

- Na pewno chcielibyśmy Wam podziękować. Nie będę pytała, o to, co robiliście w tej części Pałacu i oby ta niewiedza mi pozostała – pokiwała znacząco głową Elizabeth. – Dla waszej jednak wiedzy, nie musicie się martwić. My już wiemy, co dalej zrobić. Podajcie mi

proszę tylko wasze nazwiska, imię, po prostu chcę wiedzieć dla własnej informacji – zapewniła miło kobieta z uśmiechem.

Jak na staruszkę, która niedawno wydostała się z więzienia wyglądała naprawdę przyzwoicie?

- Richard „Brad” Bradberry, jak już mają być dane to niech będzie z Bradem, już mi serio wszystko jedno, możecie mnie nawet pozwać – rzucił zmęczony psychicznie kolega.

- „Elliot” Enderson, a właściwie William Enderson – głupio spojrzałem się w żwir pod moimi stopami.

No właśnie. Wtedy przypomniało mi się, dlaczego tak naprawdę tam poszliśmy. Spojrzałem się porozumiewawczo na przyjaciela, ten na mnie i bez większych słów pożegnania skierowaliśmy się ku jego mieszkaniu, by raz na zawsze odespać tę noc i momentalnie zapomnieć o całej sytuacji.

Zapomnieć o sytuacji i obudzić się z wiadomością, iż Królowa Elizabeth II zrzuciła Monice i Josepha przez okno z tronu.

To ja z zamiarem obrabowania Pałacu Buckingham, uratowałem jego prawowitych mieszkańców od pełnego zapomnienia i niewoli. Naprawdę brzmiało to niesamowicie, jednakże jak widać nie każdy zły zamiar skończył się dla mnie źle.

Poza tym, że teraz kraj odżyje, będzie czysto, stolica znów będzie miała ludzką nazwę, a Iglandia stanie się Irlandią – to ja wciąż będę bez grosza w kieszeni, lecz z Bradem przy boku.